

Małgorzata Sochoń

## Tato Kazio



Tim Nieland / Unsplash

Może dobrze byłoby zacząć od tego, jak mój ojciec leży w boksie, już chory, ale jeszcze o tym nie wie, i zabija łapką muchy, które lażą po kocu w kratkę. Jest lato, macocha patroszy pstrągi. Mam w domu książkę wydaną przez Instytut Pamięci Narodowej z tekstem mojego ojca, nagrodzonym w konkursie na wspomnienie – Moja pierwsza „Solidarność”, więc może wspomnę i o tym, wezmę z niego jedno zdanie, jako cytat jedyny, osobisty, w którym pisze, że mama zachorowała przez „Solidarność”, przez jego – ojca – internowanie. Może uda mi się pokazać, jak mało warte jest zaangażowanie w politykę. A może nic o polityce? Tylko o tym, jak ojciec gwizdał i czyścił buty, gdy pokłócił się z mamą, albo jak malował siwaki w kwiaty, które oglądał przez lupę na znaczkach pocztowych? A może o jego Biebrzy?

### Pliszka

– Miałas szczęście – mówi tato i obejmuje mnie serdecznie, po przyjacielsku, poklepuje po plecach, całuje w policzek. – Właśnie chciałem wypłynąć, ale pomyślałem: „A, nabieram jeszcze szczawiu”.

Odsuwa mnie trochę od siebie i przygląda się z uśmiechem.

– Przecież wiesz, że jestem szczęściarą – śmieję się. Patrzę na jego wielki brzuch, niedopięte w pasie ogrodniczki, miodową koszulę i śmieszne, krótkie kaloszki, w których chodzi rano, kiedy trawa jeszcze mokra.

– Smutno u nas – pokazuje palcem gniazdo na słupie. Z gniazda wyrasta las zielonych badyli.

– Gdzie bocian?

– Siedzi tam, na latarni. Zobacz, jaki wyliniały. Jak każdy facet bez baby – śmieje się. – Ileż tych piór mu zostało! I jaki brudas!

Wychudzony, łysawy Wojtek wykręca szyję i uparcie wyskubuje coś spod skrzydła.

– Chyba ma pchły.

– Wszy. I to takie jak mój paznokciec – tato pokazuje szerniałą od słońca dłoń i przyklada wskazujący palec lewej do małego prawej, jakby odcinał płytkę.

Wzdychamy. Wyciągam z torby whisky w ładnej butelce, paczkę kabanosów i dobry, kwadratowy chlebek z ciężkiej mąki.

– O! – mówi i znowu przytula mnie do swojego brzuszyska, pochyla się trochę, żebym zmieściła się w jego ramionach. – Częściej do mnie przyjeżdżaj! – zwalnia uścisk i opowiada, jak to wczoraj złowił dwa spore szczupaki, a wcześniej sama biżuteria, drobne płotki, karaski. „Dostaniesz te szczupaki!”

Rzeka nie jest najweselsza. Woda wysoka, ciemna, nieprzejrzysta. Wysepki skrzeku w trzcinach wyglądają jak mokre strupy, ropa z ran. Mało kwitnących grążeli. A te, co są – zaledwie na wpół rozchylone. I tylko jedna ważka w powietrzu.

– Chodź na most – mówi tato.

Most dawno miał być rozebrany, ale ciągle stoi. Łuszczą się niezaimpregnowane deski. Tu i tam rozsypane, długie drzazgi. Kiedy z rzadka przejeżdża jakiś samochód, słychać dudnienie, jakby przetaczał się nad rzeką grzmot i z dech wyskakuje kolejny odłamek. Stoimy oparci o rdzewiejącą poręcz, z której płatami złazi niebieska farba i przyglądamy się dwóm facetom w pomarańczowych kapokach, siedzącym na pontonie. Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej bada nurt. Przyglądam się okrągłemu logo na drzwiach stojącego na brzegu auta. Białe IM na ukośnych niebieskich kreskach symbolizujących deszcz i GW na poziomych, jakiś zbiornik wodny, może rzeka. Ładne.

– Proszę uważać na linę – woła młodszy do pana Zbyszka, który wysuwa się spod mostu starą, brązową łodzią. – Jeszcze dziesięć minut i znikamy!

– Dobra – odpowiada wędkarz i zawraca. Teraz wiosłuje pod prąd. Dziób łodzi przedłużony o czuby dwóch bambusowych kijów z przelotkami, żyłką, kołowrotkiem.

Tato nie popłynie dzisiaj na ryby. Będziemy siedzieć w norze obrośniętej bluszczem. Wypijemy po kieliszku whisky. Łaciaty kot będzie ocierał się o nasze nogi. Przytoczy się wielki, czarny Pimpek i swoimi niesamowicie żółtymi, żółtszymi od głębokiej żółci kwitnącego krwawnika, pięknymi, przemądrymi oczami poprosi o kawałek kielbaski.

– A wiesz, z tym Zbyszkiem od zawsze „panie Zbyszku”, „panie Kaziu”. A wczoraj przychodzi i mówi: „Może przejdźmy w końcu na ty. Nie mam wódki” – mówi – „ale mam cukierki”. I wyciąga dwie miętówki w zielonych papierkach. Zjedliśmy. I teraz ja do niego „Zbyszku”, a on do mnie „Kaziku”. – Uśmiecham się. Po zielonej krawędzi burty jednej z kilku przycumowanych łódek przebiega pliszka.

## Telefon

– Cześć, tato, co u ciebie?

– A, siedzę za drzwiami boksu i ciamkam jakąś bułkę.

## Zeszyty

Urodził się w 1940 roku, w sercu Puszczy Knyszyńskiej, w małej wiosce Kulikówka, jako siódme dziecko Urszuli i Piotra. Był chorowity. Gdy skończył osiem lat, najstarsza siostra zabrała go do siebie, do miasta, i zajęła się jego edukacją. Dostał się do Liceum Plastycznego w Supraślu, lecz w drugiej klasie rzucił naukę, bo zamiast na malarstwo trafił na tkaninę. Skończył „kolejówkę”, został pomocnikiem maszynisty. Mając dziewiętnaście lat namalował patykiem i czarnym tuszem obraz na jakiś konkurs i dostał nagrodę. Kobieta zapatrzona w lustro. Wszystko uproszczone. Nie ma oczu, nosa, ust, tylko owal twarzy. Zgrabny biust. Czarne wstęgi miękkiej tkaniny okrywają kolana. Ten obraz wisi teraz w moim domu. Papier jest przyżółcony od papierosowego dymu, jeszcze z domu rodziców.

Tato ożenił się. Swojej pierwszej córce dał na imię Małgorzata. Małgorzata to ja. I to ja, mając dwanaście lat znalazłam w domu na półce stare zeszyty, w których zapisane były jego wiersze.

Czytałam w ukryciu:

*twoich piersi koniuszki nagie  
i to nas nie łączyło  
potem  
przeklinałem niedziele*

*plakałem w wolne soboty  
pośród biebrzańskich bagien  
gdzie kwiatów było na śmierć za wiele  
a ptaków za mało na miłość*

Później, gdy był na emeryturze, czytałam fraszki, które układał, siedząc w łódce, na rybach:

*Buchalter  
W zakolu pustym,  
Gdzieś pod grążelem,  
Lin liczył łuski...  
Na płotki cele.*

*Koldra cenzury  
Płóć była chętna na tę zabawę,  
A lin się starał...  
Co dalej? Nie wiem, bo zakrył sprawę  
Liść nenufara.*

## Pomocnik maszynisty

Był pomocnikiem maszynisty. Później maszynistą. Najpierw jeździł parowozem, później lokomotywą spalinową. Pamiętam jej numer: SP 45–243. Jako nastolatka, przechodząc przez most nad torami, zawsze szukałam wzrokiem tego numeru wśród stojących na stacji lokomotyw.

Pomocnik maszynisty parowozu, na trasie o długości około dwustu kilometrów (tyle jest z Białegostoku do Warszawy) musiał wrzucić szuflę do pieca siedem ton węgla. I siedem ton w drodze powrotnej. Był wtedy bardzo chudy: stoi, młody, zmęczony, uśmiechnięty, na żelaznym schodku parowozu, w czarnej od sady czapce z daszkiem, na malutkim zdjęciu w albumie. Maszyniści parowozów cierpieli na bóle szyi i karku, bo mieli szyje i karki przewiane, i obolale od ciąglego wyglądania bocznym oknem. Lecz co mówił tato? Że maszynista to romantyczny zawód. Że aż trudno opisać widoki, jakie on podziwia, przemierzając kraj.

Chodził po domu z rozgrzewającym plastrem przyklepionym do karku. Gdy przesiadł się na spalinówkę, plastry zniknęły.

## Siwak i znaczek z księciem

Najpierw pomalował stary siwak na żółto, a gdy wyschła farba, wziął klaser ze znaczkami, lupę, i... Ale o tym już napisałam. Tak wyglądał jego pierwszy rok na wcześniejszej emeryturze, a może rencie zdrowotnej, na którą go wysłano, aby tylko przestał pracować, działać. Był rok 1982. Bieda. Któregoś dnia odwiedziła nas wujenka Regina z synkiem, chrześniakiem taty. Nie widzieliśmy ich od lat, a przyjechali jak byliśmy w wielkim niedostatku. Mama chora, w szpitalu, tato sprzedał rower.

– Który klaser ze znaczkami jest najlepszy? – zapytał.

– Ten! Z malarstwem! – odpowiedziałam z dumą, bo były tam moje ukochane znaczki. Najbardziej lubiłam ten z księciem Poniatowskim. Książę miał czarne włosy ułożone na skroniach w pazurki, puciołowatą twarz, drobne usteczka, ciemne oczy. Wydawał mi się zabawny z wyglądu, mimo,

że znaczek był poważny. Zaglądałam do klasera w chwili smutku.

– Daj mi go – powiedział tato. I w tej całej biedzie i niedostatku, w tym całym stanie wojennym, oddał mojego księcia swojemu chrześniakowi! Z całym klaserem.

Jakże on wtedy musiał źle się czuć, z tą biedą, ten książę.

## Badylarka

Nogi są gołe i bose. Tato na kucaka. Przed namiotem, w trawie, stoi spirytusowa maszynka, na maszynie menażka, w menażce bulgocze woda. Mama siedzi na kocu, zapatrzona w trzciny i drzewa po drugiej stronie rzeki. Nuci piosenkę. Ja – na ręczniku. Spod przewiązanej na głowie chustki wystają dwa splecione mocno warkoczki. Patrę to na niego, to na nią. On wsypuje do menażki proszek z dużej torebki i miesza biwakową łyżką. Ona wyciąga w moją stronę rękę z herbatnikami. Podchodzę, biorę ciastko i wracam na swój ręcznik. Płynie rzeka.

– Myszka – szepczę, widząc w trawie małe zwierzątko.

– Badylarka – mówi tato, odrywając wzrok od menażki.

Mama nas nie słyszy.

„Badylarka” – powtarzam w myślach imię zwierzątka. Kładę na ziemi otwartą dłoń z okruszkiem herbatnika. Badylarka nieruchomieje. Krótkie, rudobrazowe ciałko, czarne koraliki oczek, ogonek. Znika w trawie. Po chwili znowu się pojawia. Przebiega przez moje palce, zatrzymując się na ułamek sekundy, żeby chwycić zębami okruszek, i znika wśród źdźbeł.

– Ha ha ha! – śmieje się tato. – Patrzcie!

Spoglądamy. A on trzyma w ręku aluminiowy garnek ze sterczącą ze środka biwakową łyżką.

– Ale kit! Za dużo wsypałem!

– I tak bym tego nie jadła – mówi ze smutkiem mama.

Tato znika za namiotem i słyszę, jak wyskrobuje kit z garnuszka. Później myje menażkę w piachu i rzecznej wodzie.

Nocą budzi mnie ich rozmowa.

– Dłużej tu nie wytrzymam! – płacze mama.

– Wytrzymaj... – prosi tato.

– Nie widziałam w życiu większego durnia! – płacze mama.

– Przepraszam... – szepcze tato.

– Przegoń je! – płacze mama.

– Już poszły... No chodź... Uspokój się... Proszę... Jak chcesz, przestawię namiot w inne miejsce...

Nie boję się o nich. Wiem, że tato zaopiekuje się mamą, a ona przestanie płakać. Boję się o badylarkę. Nie wiem, czy szczury, wydry, bobry i piżmaki, które przyszły w nocy jeść grochówkowy kit, które drapały pazurami w płócienne ściany naszego namiotu, czy te wszystkie potwory zjadają także małe myszki. Może tak.

### „Co tu mówić?”

Był reportaż w TVP Białystok. Tato znowu w celi więzienia, przy Kopernika. „Jak się pan czuje tutaj, teraz, po latach?” – zadaje pytanie dziennikarz. Tato siedzi zamyślony na pryczy. „Co tu mówić” – odpowiada. Zaglądam do jego wspomnień:

„(...) drugiego dnia w celi, na okrągłej pokrywce od pudełka margaryny, ołówkiem przemyconym przez któregoś z osadzonych, wyryłem krzyż i napis: Internowani – 13 grudzień 1981. Powiesiliśmy to nad drzwiami wejściowymi (...). Któregoś dnia wszedł do celi jakiś większy klawisz – wychowawca, w towarzystwie dwóch palkowników. Klawisz coś tam truł, kiedy jeden z tych z palką pokazał mu to moje dziełko. Popatrzył tam, potem na nas. Jednemu ze swojej obstawy kazał to zdjąć i zmiął pokrywkę w rękę.

– Jeszcze wam mało? – wykrztusił. – Kto to zrobił?

– Ja.

Popatrzył dziwnie na mnie i kazał jednemu ze swoich otworzyć klapę bardachy. Chwilę się zastanawiał, potem wymruczał: – Tu jest krzyż.

Schowal to do kieszeni”.

### Tato Kazio palił papierosy

Dużo palił. Leżał na tapczanie z książką i popielniczką, i palił. Rzucił palenie, gdy już ledwo oddychał.

### Trzy żony

Tato zmarł w 2016 roku jako mąż Barbary. Teresa, moja mama, a pierwsza żona taty, zmarła kilka lat wcześniej, gdy leki przeciwbólowe wywołały u niej perforację jelit.

Tato ostatnie chwile życia spędził w hospicjum. Nie załamał się. Byłam tam codziennie, po trzy godziny, przez trzy miesiące. Mówił, że jest mu tu lepiej niż w szpitalu. Tak, było to miejsce przyjazne, chociaż – wiadomo

– smutne. Można było przynieść ze sobą kota. Można było przychodzić nawet w środku nocy.

Któregoś dnia idąc korytarzem z drugą żoną mojego taty i jej dorosłym, czterdziestoletnim, niepełnosprawnym synem z poprzedniego małżeństwa (taką ekipą przyjeżdżaliśmy najczęściej), usłyszałam rozmowę z pielęgniarką:

– O, nadchodzi pana rodzina!

– Mówi pan, że zbliża się moja ostatnia godzina?

– Ha ha ha!

– Ha ha ha!

Miał dystans do siebie, był silny, lubił żartować, nigdy się nie skarżył. Lubił też spokój i mrówczą pracę. Przepisał ręcznie książkę Klimuszki o leczniczej mocy ziół. Ze swoich wypraw na soczyste, zielone łąki przynosił liście piołunu, kwiaty krwawnika i suszył na lnianym płótnie rozpiętym na drewnianej ramie. Słodko pachnący, suszony nostrzyk, białe i żółte, dodawał do ciasta, z którego lepił kuleczki. Kuleczki nakładał na haczyk i wyciągał z rzeki zgłodniałe plotki i okonie. Godzinami mocował przelotki na bambusowych kijach, owijał ich nóżki żyłką, lakierował. Sam wytapiał małe rybki z ołowiu, które służyły za błystki.

### Obrazy

Na pogrzebie obecny był poczet sztandarowy. Trzech mężczyzn, ubranych w odświętne, kolejowe mundury, uderzało co kilka minut drzewcem flag o posadzkę kościoła. Ksiądz, który odczytywał kazanie, zdziwił się, że „pan Kazimierz był zaangażowany w politykę”:

– Przychodziłem do tego domu po kolędzie, widziałem piękne obrazy na ścianach. Jeden wisi nawet u nas, na plebanii. Myślałem, że pan Kazimierz był malarzem.

Przez ostatnie lata swojego życia tato nigdy nie wspominał, że był przewodniczącym Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” na kolei, że internowano go zaraz po północy, jako trzeciego z listy. Że nasz dom był obserwowany, niepokojony przez rewizję, że opuścili nas niektórzy „przyjaciele”, że było bardzo ciężko. Malował, pisał, zbierał grzyby, jeździł na ryby, smażył placki kartoflane, mył okna. Nad rzeką trzymał w wiaderku ziemię, w której żyły rosówki, a w słoiku z podziurkowaną pokrywką – pijawki. Sam remontował swoją łódź, która była jego największą miłością, trzecią żoną.

Nauczył mnie wszystkiego. Także – jak starzec się z humorem i podniesioną głową. Że gdy wyrośnie brzuch, trzeba będzie kupić buty bez sznurówek, żeby się

nie schylać. A gdy przyjdzie czas na sztuczną szczękę, i coś tam zakluje w dziąsło, można to coś samemu podpiłować pilniczkiem do paznokci. I że najlepiej być dla wszystkich życzliwym, lecz mieć także swój świat, do którego można od wszystkich uciec.

## Karuzela

Tato zestrzelił mi kwiatek z gąbki i papieru, a sobie papierozy. Później wsiedliśmy do kosza na diabelskim młynie i już chciałam wracać, bo ludzie głośno się śmiali, potracali mnie, tato ciągle spotykał kolegów i stałam obok, i bolały mnie nogi. Kwiatek był brzydki, nie pachniał, to go po cichu zgubiłam.

– Żeby nie było ci żal, że zgubiłaś kwiatek, pójdziemy na karuzelę.

Patrzyłam na malowane błyszczącą farbą konie, koguty, labędzie i zastanawiałam się, czy chcę się kręcić przy muzyce, ale minęliśmy małą karuzelę i tato kupił bilety na dużą.

– Spadnę.

– Nie spadniesz. Konie i koguty są dla malutkich dzieci.

A ty jesteś już dużą dziewczynką. Zobaczysz, jak się lata.

– A jak spadnę?

– Nie spadniesz. Widzisz ten łańcuch? Nikt jeszcze nie spadł.

Rozgrzany słońcem łańcuch pachniał żelazem. Pan, który go zapinał, zapytał, czy nie jestem za mała.

– Nie – odpowiedział tato, majstrując przy swoim krzeselku.

Otworzyłam oczy tylko na chwilę i zobaczyłam jak wirują niebieskie wagony z biletami, a ludzie na ziemi fruną jak zestrzelone lizaki. Poczulałam, że wypuszczam z siebie niedzielny obiad, który zjadłam w domu. Wystarczyło go na całe miasteczko. Wyleciały ze mnie kawalki kurczaka ze smażoną skórką, pogryziona marchewka, łyżka utłuczonych z mlekiem ziemniaków i pół talerza rosółu z oczkami, makaronem i nawet spalona cebula, co została w domu, na talerzu. Zamknęłam oczy i zaczęłam płakać. Wtedy karuzela zwolniła, dotknęłam nogami desek, a tato wziął mnie na ręce. Zeszliśmy na ziemię i zobaczyłam, że ludzie wcale się nie gniewają za to, co się stało, a gruby pan siedzi na stoleczku, gra na akordeonie i śpiewa piosenkę.

## Przypinka

Niewielki, metalowy przedmiot – białe tło, czerwone litery ułożone w słowo, widok maszerujących, bliskich sobie, połączonych wspólną sprawą ludzi. Znaczek „Solidarności”. Leży w moim domu, w szkatułce z pamiątkami. Obraz z namalowaną kobietą – wisi w nowych ramkach, na ścianie. Na półce siedem starych zeszytów, a w nich wiersze zapisane drobnym, ostrym, pochylonym w prawo pismem. W albumie fotografia, a na niej mężczyzna w starym swetrze i wysokich, gumowych butach, trzymający za skrzelą ogromnego, dwunastokilowego suma, którego wyłowił z Biebrzy. Sum wisi na uniesionej dłoni, wzdłuż wyprostowanej sylwetki taty.

---

W tekście wykorzystałam dwie spośród około dwustu fraszek napisanych przez mojego ojca, Kazimierza Skobodzińskiego i fragment jego wiersza miłosnego. Rzeczy te znalazłam w подарowanych mi przez tatę zeszytach. Historyjkę na temat rysunku na pokrywce pudełka od margaryny wyjęłam z tekstu o dziejach NSZZ „Solidarność” na kolei w Białymstoku, napisanego także przez tatę i opublikowanego w książce wydanej pod patronatem IPN – *Początki „Solidarności” w północno-wschodniej Polsce (1980–1981)*.

## MAŁGORZATA SOCHOŃ

– autorka tomików *Liryki domowe* (2001), *Wplątane w kalendarz* (2008), *Wiersz o świcie* (2019). Za pierwszą książkę otrzymała Nagrodę Literacką Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, książka trzecia była nominowana do Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Orfeusz” w kategorii „Orfeusz Mazurski”.